

Paweł Rzewuski: Demokracja wolnego czasu

Homo ludens stało się powszechnym zjawiskiem konsumpcjonistycznego świata. Rzesze ludzi najpierw zyskały możliwość zabawy w najbardziej wymyślny sposób, następnie prawo współdecydowania o polityce – pisze Paweł Rzewuski w „Teologii Polityczne Co Tydzień”: Polski wypo(czyn)ek.

Stary, dobry Arystoteles, kiedy formułował zasady najlepszego z ustrojów, pisał jednoznacznie, że musi utrzymywać się on na grupie, która dysponuje odpowiednią ilością czasu, aby móc skupić się na polityce. Co pozostało we współczesnym, cyfrowym świecie po rozważaniach dawno już pogrzebanego greckiego filozofa?

Odwoływanie się i powoływanie na spuściznę I Rzeczypospolitej na polskiej prawicy jest intelektualnie atrakcyjne. Rzeczpospolita Obojga Narodów stworzyła własny, niezwykle na tle Europy, system polityczny. Ustrój, który wbrew licznym przeciwnościom przetrwał trzy stulecia i w chwili swojego upadku zadziwił cały cywilizowany świat. Wielka Rzeczpospolita do samego końca walczyła o zachowanie ideałów republikańskich i wyróżnienia się na tle absolutystycznych potęg. Czy dziś możemy czerpać z chociażby niektórych jej modeli? A szczególnie, czy nie zaszły pewne cywilizacyjne zmiany, które to uniemożliwiają? Relacja między wykorzystaniem wolnego czasu a demokracją jest kluczowa.

Postszlacheckie problemy

„Szlachta nie pracuje” – slogan-powiedzonko niezwykle popularny w środowiskach, których ambicjami jest ciągła zabawa i zdobycie wysokiej pozycji majątkowej jak najmniejszym kosztem. Sposób myślenia obecny wśród części młodzieży, został jakiś czas temu skopiowany przez jedną z partii lewicowych, która próbowała zbudować na nim swój kapitał.

Dlaczego to ważne? Bowiem pokazuje, w jaki sposób funkcjonuje w Polsce wyobrażenie o szlacheckości. Szlachcic jest albo dzielnym wojakiem, co rusza w szranki z licznymi zastępami wroga (najlepiej w charakterze obrońcy przedmurza chrześcijaństwa) albo zajmował się służbą na rzecz państwa. Następuje swoiste *reductio ad husarium*, w którym szlachcić oznacza bezwzględnie ni mniej, ni więcej jak tylko wojownika. Sarmata musi machać szabelką i tyle. W szranki z hybrydą Skrzetuskiego, Kmicica i Wołodyjowskiego (taki twór walczy przecież jednocześnie ze wszystkim wrogami i dokonuje najbardziej dziarskich wyczynów) idzie obraz programowany przez partię Razem. Tam szlachcic, niczym wyjęty z PRL-owskiego podręcznika, jawi się jako obdarzony podgolonym łbem pijus, który niewoli chłopów. Sam oczywiście całe dni przesypia, bądź bawi się w gronie równie odrażających kreatur. Przecież „szlachta nie pracuje”. Dodać należy, że dla niektórych taki sarmatyzm potomków chamów jest atrakcyjny i śnią, że taki będzie ich „szczęśliwy los”.

Tymczasem rzeczywistość wyglądała inaczej. Szlachectwo tak długo, jak wiązało się bezpośrednio z republikanizmem, było zajęciem wymagającym. I Rzeczpospolita nie była tutaj wyjątkiem, bowiem jej sposób myślenia był jednoznacznie zaprogramowany przez koncepcje znane z pism Arystotelesa. Sejmy, sejmiki, sądy i urzędy pożerały wiele czasu i pieniędzy. Były służbą, na którą nie każdy mógł sobie pozwolić. Nawet wyprawa na sejmik niekiedy łączyła się z dużymi wyrzeczeniami i wydatkami. Pojawienie się na elekcji

bywało zadaniem ponad siły (w tym też upatruje się zmniejszania się frekwencji szlachty podczas wyborów króla). Wystarczy wyobrazić sobie jaką drogę musiał przebyć szlachcic z Podola do Warszawy, aby zrozumieć, że nie była to sprawa łatwa.

Równie czasochłonne było sprawowanie urzędów. Sędzia, asesor, stolnik, wojski, chorąży, starosta, wojewoda – oto tylko część funkcji, jakie mogli piastować szlachcie. Każda z nich pożerała czas. Niektóre, jak urząd wojskiego, w czasie pokoju wydawały się przyjemnymi. Przeradzały się jednak w ciężką pracę w czasie wojny, kiedy nagle należało zapewnić porządek na terenie powiatu. A zadanie takie nie było łatwe, bowiem wiadomo, że gorsze od wojska wrogiego jest tylko własne, które maszeruje przez ziemię.

Obywatelskość ujawniała się właśnie w piastowanych urzędach, w oddaniu się niewojskowej pracy dla państwa. Ba, urząd wręcz wielokrotnie poprzedzał człowieka, co w sposób niezwykle wyraźny uchwycił Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*. Wszyscy dorośli mężczyźni są wskazywani poprzez urząd albo tytuł (Hrabia, Sędzia, Wojski). Z imienia są wymienieni kryminaliści (Jacek Soplica), kobiety (Telimena, Zosia) i niedojrzali jeszcze młodzieńcy (Tadeusz). W świecie szlacheckim funkcja, jaką piastowało się w państwie, była nie mniej ważna, co nazwisko rodowe.

Relacja między wykorzystaniem wolnego czasu a demokracją jest kluczowa

Istniała zatem skomplikowana ontologia wolnego czasu, który wolnym czasem nie był w rzeczywistości. Urząd

wymagał poświęcenia, które wykluczało inną działalność. Dworem i gospodarstwem mogła zajmować się żona i ekonom (żony szlacheckie nieraz i nie dwa bywały dzięki temu niezwykle wyemancypowane), szlachcic zaś musiał poświęcać się pracy na rzecz Rzeczypospolitej. Życie obywatelskie przez obciążenia, jakie ze sobą niosło wykluczało również swobodne dysponowanie własnym losem. Żołnierz, chociaż byłby najwybitniejszym, miał utrudniony udział w życiu politycznym. Kiedy odbywały się sejmiki, on stacjonował w obozach albo po prostu był na wyprawach. Formalnie nie było zakazu łączenia funkcji posła ze służbą w wojsku (*de facto* każdy szlachcic ze względu na funkcjonowanie pospolitego ruszenia był w pewnym sensie żołnierzem), ale w praktyce to się nie zdarzało.

Oczywiście wymagało to specyficznego podejścia do świata i struktury społecznej. Szlachcic nie mógł, jak angielski dżentelmen, ciągle zastanawiać się nad stanem finansów. Warunkiem koniecznym istnienia republikanizmu była mocna szlachta ziemiańska, która czuła silny związek z Rzeczypospolitą. Jednocześnie posiadała odpowiedni kapitał, aby poświęcić się służbie dla niej. Załamanie przyszło w czasach potopu szwedzkiego, kiedy została ona w znaczący sposób osłabiona. Zbyt wielką rolę polityczną odgrywali ci, których wcześniej starano się zepchnąć na polityczny margines – szlachta-biedota, gołota, która była podatna na wszelkie formy przekupstwa. Sytuację zmieniła dopiero Konstytucja Trzeciego Maja, która ograniczyła prawa polityczne szlachcie nieposiadającej ziemi. Zapisy były bezwzględne i nie pozostawiały złudzeń – aby być pełnoprawnym członkiem wspólnoty politycznej, trzeba było spełnić konkretne warunki.

Cenzusy

Historia zna wiele różnych cenzusów, jakimi obłożone były możliwości partycypowania w życiu politycznym. Od urodzenia przez majątkowe. Na przemian to wykluczano, to dopuszczano, to niekiedy stawano na głowie i stwarzano sytuacje, w których wczorajszy parias stawał się jedynym dopuszczonym do rządzenia.

Możliwość udziału w polityce ze względu na urodzenie jest ideą, która już dawno przestała funkcjonować i która *de facto* nie ma już racji bytu w postmodernistycznym świecie. Jedyne próby jej reaktywacji podnoszą środowiska nacjonalistyczne, ale pozostają marginesem. Natomiast cenzus majątkowy jest sprawą tyleż wygodną, co niebezpieczną. Tworzy złudzenie możliwości współuczestnictwa w demokracji przy jednoczesnej jej iluzoryczności. Niekiedy jest on ukryty w szatach powszechnej demokracji – z takim przypadkiem mamy do czynienia w Stanach Zjednoczonych, gdzie już dawno mówi się o oligarchii.

Niemożliwym jest więc próba wrócenia w prosty sposób ani zaadaptowania do potrzeb XXI wieku cenzusów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Zresztą stworzenie nagle z Polski państwa, w którym tylko szlachta może brać udział w polityce byłoby pomysłem kuriozalnym. Prawdą jest, że nikt takich pomysłów nie przedstawia. Nic dziwnego, na ich tle idee monarchistyczne wydają się pomysłami realnymi i umiarkowanymi.

Pozostaje jednak cały czas pytanie jak doświadczenie, które było udziałem pewnego procentu ludzi, przenieść na pozostałe 90%? W jaki sposób przenosić dawne idee, aby były żywe? Czy możliwe jest czerpanie ze staropolskich wzorców w konkretnych aspektach?

Postmodernizm i sarmacja

Przed prawicą stoją wyzwania jak dalej rozwijać idee republikanizmu w zmieniającym się świecie. W Polsce problem jest wielokrotnie złożony. Nie da się budować odwołań do I Rzeczypospolitej bez odwoływania się do sarmatyzmu. Pierwszym ustosunkowaniem się jest wyobrażenie o szlachcie, które pełne jest z jednej strony resentymentów, z drugiej mitów i redukcji. Przedziwne koleje polskiej recepcji szlacheckości opisali ostatnio Smoczyński i Zarzycki w *Totemie inteligenckim*, jednak nie ma potrzeby rozpisywać się nad tym zagadnieniem. Ważnym jest zwrócenie uwagi, że bez przemodelowania odbioru szlacheckości, nie da się realizować dojrzałego republikanizmu. I koniecznym jest postawienie ciężaru na obywatelskość, nie militarizm.

Drugim niemniej poważnym problemem jest zmiana struktury społecznej i zmiany cywilizacyjne. Przede wszystkim sposób, w jaki podchodzi się do instytucji „wolnego czasu”. Wolny czas oznacza czas, w którym nie pracuje się zarobkowo, w którym można swobodnie dysponować swoim życiem. Jako masowe zjawisko zaczął być obecny na przełomie wieku XIX i XX, ale dopiero po drugiej wojnie światowej stał się naprawdę powszechny. *Homo ludens* stało się powszechnym zjawiskiem konsumpcjonistycznego świata. Rzesze ludzi najpierw zyskały możliwość zabawy w najbardziej wymyślny sposób, następnie prawo współdecydowania o polityce. Problemem nie jest istnienie samego wolnego czasu, ale to, w jaki sposób jest on pożytkowany.

Problem tkwi w tym, że republikanizm i umiłowanie życia prostego, skupionego na zabawie są ze sobą sprzeczne. Umiłowanie ojczyzny, o czym piszą wszyscy autorzy antyczni, wymaga poświęceń i wyrzeczeń. *Homo*

ludens nie akceptuje wyrzeczeń, chce zabawy. Oczywiście szybko znaleziono na to rozwiązanie w postaci demokracji liberalnej i koncepcji Johna Rawlas, w myśl której polityką powinni zajmować się politycy, zaś reszta obywateli powinna się cieszyć „ciepłą wodą w kranie”.

Kluczem jest samo spojrzenie na politykę jako na obszar najważniejszej ziemskiej aktywności. Pogląd taki jest jednak niedopuszczalny w liberalnym świecie. Uwielbia się w nim demokrację, a jednocześnie samą politykę (będącą warunkiem koniecznym jej zaistnienia) utożsamia z brudem. Koniecznym jest nie tyle dopuszczenie złudnej wiary, że polityka nie wiąże się ze złem. Taki pogląd jest po prostu naiwny. Ale że polityka wymaga jak największego zaangażowani ludzi, którzy są w stanie się temu złu oprzeć. Dlatego stanowi najważniejszą z aktywności.

Metod aktywizacji społecznej jest wiele i prawda jest taka, że większość z nich nie przynosi wytęsknionych owoców. Leczą bowiem nie przyczyny, a objawy. Aby stworzyć społeczeństwo obywatelskie należy doprowadzić do reformy na poziomie antropologicznym. Jednym słowem polegającej na odwróceniu procesów albo przemodelowaniu skutków, które tworzą *homo ludens*. Czy w Polsce jest to w ogóle możliwe? Rosnący konsumpcjonizm jest trudny do zatrzymania, trudne też jest uświadomienie masom o jego szkodliwości. Pomimo, że masy same czują już przesyt konsumpcjonizmu. Polacy po „boomie” pierwszego dziesięciolecia zaczynają być zmęczeni kolejnymi nowościami i medialnym przymusem posiadania kolejnego gadżetu. Nie potrafią jednak sami się z niego wyzwolić, bo nie posiadają skutecznych narzędzi.

Jeżeli chce się budować republikanizm, należy skupić się nie tylko na hasłach o konieczności zaangażowania się w „budowanie Polski”, ale ułatwienie Polakom możliwości wejścia w politykę. Walka o republikanizm będzie zatem walką z wszechobecnym konsumpcjonizmem i jego brutalną propagandą. Nie oznacza to ograniczenia wolnego rynku, ale wytyczenia pewnych ram, co jest dopuszczalne, a co nie. Jedną z nich, absolutnie podstawową, będzie powstrzymanie wszechobecných reklam, które kierkują umysły w stronę życia łatwego i przyjemnego. Konflikt republikanizmu z liberalizmem jest walką o spojrzeniem na czas wolny.